

1

na rogu Okopowej i Żytniej

Niemcy starają się wystraszyć...

..... i przebiecia powstańców i zmusić ich do opuszczenia pozycji.

Daremnie. Słońce zniża się ku zachodowi, krwawiąc cały horyzont.

....zostają. Wróg usadowił się na dogodnych pozycjach....i nasi nie marnują kul.

Z daleka słychać trochę ognia artyleryjskiego, ale to ginie w ciszy. Zapada zmrok,....wycofują się zostawiając....jako zdobycz wojenną. Noc jest zupełna, cisza. Kiedy do naszego domu wpada....Nadają Wszyscy patrzą się na....z uwielbieniem.....założoną opaskę powstańca....przestraszony..... ja tylko nagłaskałam polskiego żołnierza- szepczę ze łzami w oczach. Niemiec...się pobłażliwie. Zachodzą..... wyjść jeszcze. Jakieś dziwoty

2

Jakaś jeszcze obawa przed Gestapo,ale wszystko odrzucamy, te natrętne myśli .Niech się co chce dzieje, grunt, że Oni są. Przychodzą drugi raz, dostają się do fabryki Doeringa i stamtąd po pół godziny wyprowadzają 30 Kałmuków i 4 Niemców oraz dużo broni i amunicji i żywności. Pomagamy im nieść skrzynki. Deszcz pada na dobre, ciemnica, wpadamy coraz w kałuże, .ale niesiemy wszystko dla dobra sprawy. Idziemy przez nasze pozycje i wszędzie warty, sprawdzanie, ogromna ostrożność. Sami wśród nich czujemy się niepewnie, bo i oni są tak do nas ustosunkowani. Wracamy do domu. Wszyscy opowiadamy sobie wrażenia dzisiejszej nocy. Snujemy plany na przyszłość. Robi się szaro. Świt rozprasza ciemności.Słychać z dala pojedyncze strzały. Na rogu ruch. Wszyscy do sypania barykad. Kto żyw wychodzi z domów, by pomóc

2+

w pracy .Z bram wysypują się młodzi i starcy, mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci. Każde nosi bryły betonowe z chodników, kamienie i rzuca je. Drudzy kopią dół szeroki, przeciwczołgowy, inni przewracają zdobyte samochody. Kobiety ściągają z okolicznych zabudowań wózki, deski, paczki, beczki i inne rzeczy i rzucają na stos. Wszyscy pracują w pocie czoła, ale uśmiech jest na ustach ich. Robota z gigantyczną szybkością posuwa się naprzód, barykada rośnie, potężnieje, czołg już nie przejedzie. Deszcz mży, to okropne. Wszyscy przemoczeni, usmarowani wracają do domów. Nikt nie patrzy , że ubłocił palto- to dla dobra sprawy. Ja też brałam udział w sypaniu barykady, zaniostałam w południe zupełną powstaniecom, byłam w ich kwaterze na rogu Karolkowej i Żytniej. Cała sala pełna przych ,a na nich siedzą chłopcy młodzi i kilka dziewcząt;

3

trochę rozmawiają, ale nie dużo i cicho. Jestem wśród nich jak intruz. Po obiedzie znów umacnianie barykady mimo straszego deszczu. Ku naszej radości mama wraca do domu cała i przynosi trochę nowin. Zresztą wszystko jest dobrze. 3/4 W-wy opanowane tylko kilka punktów się broni. Co prawda małe mamy szanse zdobycia stolicy sami, bo brak broni i amunicji daje się już odczuć, ale co znaczą te braki wobec naszego zapału i entuzjazmu. Dadzą pomoc, jak tylko dowiedzą się, przecież obiecali. Zresztą Rosja blisko- pocieszamy się. Kamienie z hukiem lecą na barykadę wśród ogólnego śmiechu i pokrzykiwania. Patrzą na swoje ręce czarne od błota i ubrudzone palto. Buntuję się. Ja nie chcę sypać barykady! Moje miejsce jest przy rannych. Ja chcę być też w powstaniu. Wbiegam do domu i oznajmiam mój zamiar rodzinie. Są niezadowoleni.

3+

Mama odradza, ojciec wprost nie pozwala. W mieszkaniu już jest trochę rodzinki, ciocia z wujkiem i córeczką oraz stryj Marian. Biorę szybko czepek i fartuch oraz kilka kostek cukru i hajda w drogę. Prowadzi mnie syn sąsiada naszego Janek ochotnik. Stajemy przed porucznikiem. Chwila niepewności - przyjmie czy nie? Pyta o kwalifikacje, kreci głową...o Boże! Ale o dziwo! 1,1/2 roku szk.piel. zrobiło swoje. Prowadzą mnie na górę, na salę chorych. Leży ich 3ech: dwóch lżej rannych, jeden ciężej i tego właśnie dostają pod opiekę. Zapada zmrok i wraz ze zbliżającą się nocą ustają działania na naszym odcinku. Jest względna cisza. Całą noc siedzę przy rannym, który czuje się niedobrze i wymaga dobrej opieki. Na własną rękę pakuję mu kamforę z kofeiną, masując nogę, okrywam, układam itd. Rankiem chory czuje się lepiej,

4

jest mi wdzięczny za opiekę. Przychodzi doktor Maks, bada tętno chorego, stwierdza polepszenie stanu i zwraca się do mnie już zupełnie inaczej i z większym zaufaniem.

- Dostanie pani podręczną apteczkę, tę salę pod opiekę + 2 sanitariuszki i dozór nad salą niemiecką. Porobić trzeba karty gorączkowe, doprowadzić sale do porządku.

Wychodzi i za chwilę przysyłają mi cały ekwipunek obiecany. Zabierają mi owego ciężko chorego, który ze łzami w oczach żegna mnie i prosi, aby go odwiedzić. Obiecuję, wzruszona tym dowodem wdzięczności, wszak to pierwszy mój ranny. Jestem teraz swobodna, bo zabierają i drugiego. Powoli porządkuję salę, układam leki. Cieszę się, że jestem pomocna, że są ze mnie zadowoleni. Wchodzę na salę niemiecką, sprawdzam porządki, karty, stan chorych. Ranni patrzą się na mnie z ciekawością. Sanitariuszka zaznajamia

4+

mnie ze stanem sali. Na sali stoi wartownik- nasz chłopiec. Warta zmienia się co 3 godz. Siadam, gadamy sobie trochę o różnościach. Nudy, nie ma co robić, siedzi się do wieczora, a potem całą

noc i gada, żartuje, flirtuje. No cóż robić, kiedy warta taka wesoła: Kruk, Bej, Karo, Kier i inni. Miło spędzam czas z Karem i Kierem. Szczególnie oni dwaj upamiętnili mi się na zawsze. Karo porywczy, Raz pozabijajcie wszystkich rannych; Kier dumny ze swego stopnia podchorążego, nie pozwala mówić na siebie panie Tolku. I znów mija noc. Ranek jest śliczny. Słońce wschodzi i rzuca złote promienie na zroszony świat. Sucho, pięknie. Już z samego rana kieruję pracą na sali niemieckiej. W nocy przybył tu chory Niemiec. Jest to wysoki, przystojny, doskonale zbudowany mężczyzna, dumny, ale rozumie. Wypiera się, że nie zna polskiego, choć ja myślę, że trochę

5

zna. Do niego zaglądam częściej. Zresztą wszyscy są tacy mili, że aż chce się z nimi pracować. Przypomina mi się, że wczoraj rozstrzelano szpiega na ich stronę. A był z polską opaską. I jasne, że ci Niemcy chcieli, a może i zabili naszych chłopców, tych pełnych życia, werwy, wesołych żołnierzy. Tak, ale teraz oni są tacy bezbronni, tacy zdani na moją łaskę. Patrzą się na mnie z takim zaufaniem. Nie, ja ich tak samo będę pielęgnować. Już godz. 10 rano, kiedy za pozwoleniem por. Maksy urywam się na 15 min. z jednym żołnierzem do domu. Mam już na sobie tygryskę -bluzę nieprzemakalną, czepek, fartuch – wyglądałam fajnie i z nim.

Na podwórku i schodach wszyscy przypatrują mi się z zazdrością. W domu ogólna radość. Są już Klepaccy. Dużo krzyku, wszyscy się pytają, czy nie chcę jeść, czy mi czego nie potrzeba. Nie chcę

5+

nic. Zostawiam tylko blezer, zakładam korki i jestem gotowa do wyjścia. Mama częstuje mego kolegę. W tej chwili wchodzi Zdych cały spocony, zmęczony: był przy kopaniu barykady. Dowiaduję się, że wczoraj była Zocha. Zresztą panuje taki chaos w naszej rozmowie, że trudno zorientować się w jej sensie. Ojciec jeszcze pracuje na barykadzie. Mój Boże, jak bym go chciała zobaczyć, ale już nie ma czasu. Szkoda! Żegnamy się i wychodzimy. Melduję por. Maksowi swoje przybycie i idę na salę. Po chwili wołają mnie do warty przy bramie. Okazuje się, że przyszła ciotka i przyniosła mi szczotkę, mydło do zębów i cukru kostkowego. Rozdaję go na prawo i lewo. Wszyscy lubią ten cukier. I znów czas schodzi. Jest sobota 5 sierpnia rano. Zaczynają krążyć samoloty, dr każe przygotować salę, bo będzie dziś dużo rannych. Bombardowanie na całego, aż ranni Niemcy podnoszą

6

głowy ze strachu. Nie wierzą, że ich rodacy mogą bombardować właśnie budynki ze znakiem CK.

Dr, który właśnie koło mnie stoi, jest to Turek przystały do mnie i przychodzący do mnie. Oboje nie schodzimy do schronu mimo pozwolenia. No, fala samolotów przeszła. Kałmucy myją podłogi, mamy z nich pociechę i trochę wesołości. Jak to przyjemnie tak poganiać nimi, jak oni kiedyś

poganiali nami , mieć władzę nad niemieckim mundurem. Do obiadu jest już wszystko skończone i sale przygotowane:15.10 z pościelą czystą czeka na przyjęcie pacjentów. Tak, bo dziś chłopcy walczą na cm. ewangel. a ta placówka pochłania wiele ofiar. I jeszcze słońce nie zaszło, jak już przybyli ranni: Żarski, Trefl, Wandeczka, Polak, Czarny, Andrzej, jakiś Wilnianin, komendant bloku z raną w brzuch i inni. Sama rannych opatruję na sali, ciężej ranni przychodzą opatrzeni.

6+

Warunki ciężkie: brak światła i odpowiednich sił pielęgniarskich, ten pośpiech, z jakim składano rannych, wszystko to utrudniało racjonalną opiekę. Każdy prosił o co innego. Biegałam od łóżka do łóżka, poprawiałam pościel, układałam zranione kończyny, dokładałam ligniny do przemoczonych opatrunków, poprawiałam źle założone bandaże. Urwanie głowy. Po dwóch godzinach nareszcie się trochę uspokoiło, aż tu około północy naraz dostaję rozkaz szykowania rannych do drogi. Trzeba usunąć rannych dalej od frontu, aby zapewnić im większy spokój- mówi dr Maks-Rannych Niemców zostawimy bez żadnej opieki, chyba, że chce pani z nimi zostać-Nie odpowiadam i szykuję naszych chłopaków. Powoli wynoszę i ładuję do karetek wszystkich. Opatrunki przemiękają, chorzy jęczą. Ale nie tylko trzeba myśleć o nich. Trzeba też zabrać ich pościel, materiały opatrunkowe, świece. Nie ma

7

już tego gdzie ładować, a przecież wszystko się przyda. Chorzy jeszcze mi dają swoje zapasy żywnościowe do zabrania. Pakuję w bluzę, w plecak, w co się da. I wreszcie ostatnią karetką zabieram się sama. Przyjeżdżamy na Okopową 55 do budynku szkolnego, przedtem zajmowanego przez Niemców. Okazuje się, że nasi pod naporem nieprzyjaciela, który użył do akcji czołgów, granatników, a w dzień samolotów i różnorodnej artylerii, muszą się cofać i dlatego my z takim pośpiechem zabieraliśmy rannych. Boże! Coraz gorsze wiadomości: Niemcy zdobyte ulice palą, mężczyźni rozstrzeliwują, kobiety wypędzają, zabierają dobytek. Coraz większe niepowodzenia na froncie, ale entuzjazm nie ginie - wszyscy pragną: odebrać, zdobyć, zwyciężyć. Młody, szczupły Bej mówi do mnie smutno:

-Ja czuję, że niedługo będę żył, a tak bardzo chciałbym przetrwać i zobaczyć, co to będzie po wojnie.

I ginie na trzeci dzień od granatnika. Na cmentarzu

7*

ewangel. dużo ofiar. Granatniki są straszną bronią: rozpryskują się, raniąc wszystkich dookoła i czyniąc ich niezdarnymi do walki, zajmującymi miejsca w szpitalu, utrudniającymi ewakuację wojsk walczących. Moi ranni lokują się w dużej sali na parterze. Jest ciemna noc. Tamtejsze

sanitariuszki rozdają kawę. Ja kładę się na jakimś sienniku, trochę zasypiam. Robi się szaro, gdy już wśród rannych zebranych tu z różnych stron wynajduję powoli swoich. O dziwo znajduję to Edmunda G. tego (skreślenie) chłopca, o którym (skreślenie) w pamiętniku (skreślenie) Jest lekko ranny w nogę chwala Bogu. Poznaje mnie i rozmawiamy przez chwilę. O Janku i Andrzeju nie wie nic. Patrzę się, oczom własnym nie wierzę. Tak, a jednak to on! W końcu przychodzi nadzieja, że może spotkam Janusza, a może spełni się choć w części śmiałe marzenie z pamiętnika. Już widno dość tego, trzeba zająć się rannymi. Sama myję każdego

8

po kolei, bo pomocy żadnej, roznoszę baseny, poprawiam opatrunki. Do roznoszenia śniadania dostaję 2 łączniczki. Po śniadaniu przychodzi doktor Kalina: młody, szczupły, o powierzchowności miłej w mundurze tygrysim. Robimy obchód tak, jak w normalnym szpitalu. Wszystkie sanitariuszki zazdroszczą mi tego zaszczytu. Po tym opatrunki schodzą do południa. Tu umiera mi ten komendant domu. Ma jelita na wierzchu, a nikt nie chce stwierdzić śmierci. To pierwszy trup na mojej sali. Od południa zaczyna się dalsza ewakuacja: do św. Jana B. Trzeba jechać przez getto, a tam jest ostrzał z Pawiaka. Poznaję tu (skreślenie), młodego chłopaka (nie pamiętam pseudonimu), z którym bardzo miło rozmawiam. Nie jest takim entuzjastą jak ja, poszedł, bo obowiązek kazał. Ma na sobie kombinezon cały podszyty futrem króliczym oraz kaptur taki sam. Chce mi go ofiarować, ale ja odmawiam,

8+

bo i po co przecież 6 sierpień gorąco. Znowu ostatni transport lekko rannych, z którymi jadę ja. Ten żegna mnie i daje puszkę konserw i suchary. Ruszamy, Polak ściska mi rękę, widać już obdarza mnie sympatią. Pr. Czarny uśmiecha się. Częstuje ich sucharami, wśród żartów, wesołych rozmów, śmiechu dojeżdżamy do getta. Już sucharków zabrakło, za to czekają nas gruszki i wiśnie prosto z drzewa, na gałązce z listeczkami, każdy urywa sobie po jednej lub kilka. Jest bardzo przyjemnie. Stoimy w getcie z pół godziny. Myślę o Januszu W., którego przed wjazdem do getta spotkałam z karabinem w ręku i w hełmie na głowie. Uśmiechnął się tylko; co myślał sobie, widząc mnie na samochodzie w mundurze? No wreszcie wolna droga - ruszamy. Getto to jeden pusty plac obsiany trawą, gdzieś drzewka; wygląda tak, jak gdyby nic nie było. A przecież tu żyło tyle tysięcy ludzi, pracowało, tworzyło, tyle dzieci bawiło się w parkach, tyle myśli, trosk, poglądów. Dziś tylko trawa. Jedziemy koło Pawiaka. Głowy niżej bo ostrzał! My troje, co siedzimy wyżej, schylamy głowy. Z murów więzienia już nas zoczyli, bo puścili serię z KMU. Jedna kula przeleciała przez czepek; jeszcze trochę, a w głowę, aż kurz zasypał mi oczy; kula utkwiała w ścianie samochodu. No mineliśmy najgorsze bez szwanku, teraz wjeżdżamy w obszar ruin: szyny, kolejka, wagoniki, gruz, cegły, nawet jeszcze pół-szkielety domów. Samochód skacze po wykopach, górkach, kamieniach, chorzy wija się; bolą ich rany. No, ale widać mur, domy. Już zjeżdżamy przed bramę, stajemy. Wskakują, cywile pomagają wynosić rannych. Wbiegam obejrzeć teren. Patrzę

chorzy nasi siedzą na ławkach ,roznoszą im

9

chleb z konserwami, kawę, inni lokują ich w budynku. Wybieram 2 pokoje, w których lokuję ciężej rannych z mojego oddziału. Siostra Halina- starsza pielęgniarka mówi mi, że tu jest dość sił pielęgniarskich, że mnie nie potrzeba. Co?Ja muszę być przy swoich chłopcach, ja będę tu! Krzyczę, pokazuję owe 2 pokoje. Tu będę miała dyżury nocne, w dzień zaś może być - Kto chce. Niezbyt chętnie, ale godzą się. Stosunki są b. oziębłe. Szarytki nieprzychylnie patrzą na obcą przybyszkę szpiegują moje kroki, moje zachowanie,, moją pracę. Pierwsza noc schodzi mi b. trudno, bo spać mi się chce okropnie, a Siostra Halina coraz to zagląda. Robiłam, co mogłam, aby nie zasnąć, jakoś ta noc zeszła. Koło południa dopiero zmieniła mnie jakaś pseudo-pielęgniarka-urzędniczka z Opieki Społecznej zresztą b. miła. Kulturalna osoba, zgadzająca się z moimi

10

wybrykami. Tu poznaję Matrosa- kolegę pr. Czarnego, jest młody, czarny, brzydki mężczyzna, b. prędko, energiczny. Od razu poczuł coś do mnie, zawsze u niego była Lena i Lena. Przyniósł mi kwiaty, zaprosił na tajne śniadanie(tu następuje duże skreślenie, którego dokonała Alina Okońska pod koniec życia- przypis A. Nagalskiej) Tu też do późnego wieczora rozmawiałam z Bronkiem. Jest ranny w rękę, zresztą dość przyjemny

10+

łasi się do mnie , przytula- lubi mnie. To fajnie. W nocy chodzę, sprawdzam czy wszyscy są przykryci, załatwiam ich potrzeby, nad ranem mierzę temperatury, poprawiam opatrunki, zostawiam sale w porządku dla dziennej pielęgniarki. Rano idę spać do jednej z ochotniczek-pielęgniarek , gdzie jestem b. mile przyjęta. Mogę się umyć cała, mam uprany fartuch i czepek, śpię smacznie jak u siebie w domu, a na dokładkę dostaję dla moich rannych chusteczki do nosa, bandaże, koszule, ręczniki, które rozdaję wg swego gustu, aby każdy czysto wyglądał i miał porządny opatrunek. Toteż nasi chorzy byli zadowoleni, bo czyści zawsze , świezi i wypielęgowani. Tak upływały dni. Jedzenie w szpitalu jest dość dobre, choć go nie jem. Sprawę mojego wyżywienia poruszam u S Eufemii, która mi mówi, że jeśli dłużej będę flirtowała

11

z chłopcami, to mi w ogóle jeść nie da. Podobny incydent mam przy chorych, kiedy zostaje ranny Ossoria. Mianowicie chłopcy chcą być razem i proszą, aby tu został wniesiony. Zgadzam się i razem z doktorem wnosimy go do pokoju. Siostra E. jest oburzona na taką ciasnotę i wytacza mi awanturę, że przybył jeszcze jeden do flirtu. Oczywiście wylatuję za drzwi, ale ja miałam już dość tego traktowania i szukam miejsca, gdzieby się usunąć. Dowiaduję się, że na Barokowej jest szpital

podobno lepszy, wobec tego zabieram chorych , kto chce i wyjeżdżam. Dr Maks patrzy się temu ze zdziwieniem, ale nie mówi nic. Radzę sobie, jak mogę; niosę Kara, Kiera i Juranda, przewozimy naszych rannych 2 karetkami. Reszta idzie pieszo. Pierwsza partia piesza wstępuje z inicjatywy Żurka- Zaporozca do restauracji, gdzie dostajemy zupę i kawę. Zresztą droga schodzi nam b. miło. Wracam po leżących z Karem i Kierem -bliżej już

11+

poznałam się przez Trefla, który obdarza mnie dużą sympatią. Gdy mu przyniosłam wiadomość, że widziałam brata, kazał pozdrowić go i uściskał mnie wobec całej sali ze łzami w oczach. Dzieciaki to jeszcze!...Karo także mnie b. lubił, zawsze miło rozmawiał, żartował. Toteż, gdy spotkawszy ich na Bonifraterskiej prosiłam o pomoc, zgodzili się chętnie. Już mają karetkę z wymalowaną na boku lilijką harcerską i białym orłem. Przewozimy jedną partię, potem drugą. W międzyczasie pierwsza karetka psuje się, czekamy więc usiadłszy na tyle. Karo wtedy objął mnie, powiedział kochane słowa. Dobrze mi wtedy było. Ale zaczęło się ściemniać, poszliśmy z Barokowej pieszo do Jana B. Droga była b. przyjemna. Pod rękę wszyscy czworo idziemy, śpiewając; śmiejąc się,... na temat miłości itd. Podobał mi się Jurand. Zresztą wszyscy trzej byli b. fajni. Ja w

12

tym fartuchu i czepku i czerwn. krz. też wyglądałam ładnie. Zapada zmrok, wieczór ciepły, przyjemny, romantyczny i Karo trzymający mnie pod rękę. Przenocowałam jeszcze u J. B. na sali operacyjnej. Rano zaś udałam się do majora Skiby-dr naczelnego na północ , aby pozwolił mi być na Barokowej. Oczywiście przystał, wobec tego melduję się u S. Joanny- starszej i proszę , żeby być na sali u swoich. Z ledwością przystaje; boi się, abym nie flirtowała i zresztą niechętnie przyjmuje nową pielęgniarkę. Jakoś wygadałam i zostałam, a co najważniejsze na noc. Ucieszyłam się. Długo gadałam z Mucem, z którym lubimy się bardzo. One coraz zaglądały, czy przypadkiem nie siedzę u kogoś z chorych, lecz zawsze zastawały mnie przy stoliku. Rano ledwo mogłam ułożyć się spać, jak zaczęła artyleria prac i odłamki się sypać, to trzeba było uciekać. Chorych z sal też trzeba było znieść z uwagi

12+

na bezpieczeństwo. Wszyscy przeszli na parter, gdzie sufit przytrzymany był stropem. Przeprowadzka i układanie chorych trwało do wieczora. Umęczona całodzienną harówką dostaję rozkaz objęcia dyżuru nocnego przy ciężko rannych w drugim skrzydle budynku. Z niechęcią, ale idę. Są tam jeszcze dwie siostry: Lucyna i Agnieszka. Ledwo Lucyna kładzie się spać, aż tu coś wyje i po kilkunastu sek. straszny, długi huk. Co to? Zrobiło się ciemno, świece zgasty, kurz, szyby lecą. Nie wiadomo, co się dzieje. Słychać walenie się cegieł, trzask desek. Koniec świata chyba. Gdy wszystko ustało, jedna z nas na ochotnika idzie do drugiego skrzydła do naszych i opowiada. Wszystko tam przerażone. Znosimy rannych. Już lepiej razem wszyscy. Znów noc pracowita, a w

dzień przecież spać nie ma gdzie. Siedzi się na ławce i gada z chorymi. Ciężko rannych jest tylko kilku,

13

reszta chorzy chodzący. Dużo jest także rannych cywilów. Po prostu nie chce się pracować w tak okropnych warunkach. A nad głowami szumią samoloty, padają z hukiem bomby, szafy, rozrywają się granatniki i trzeba się kryć. Całe podwórko obsypane jest gruzem i deskami. Budynek nasz grozi zawaleniem sala opatrunkowa zburzona , a nasz sufit ledwo się trzyma, szyb nie ma, ściany zarysowane, kurz, brud, a walić w nas nie przestają. Dłużej tu być niepodobna. Dowiaduję się, że przenosimy się na Długą 23. Moi chłopcy prawie już zdrowi nie chcą się przenieść i wracają do kompanii. Muc chce, żebym z nimi szła, ale SS Joanna twierdzi, że moje miejsce jest przy ciężko rannych. Trudno, trzeba zostać, choć serce woła gdzieindziej. Ale z drugiej strony do kogo wrócę? Do dr Maksa, który tak niechętnie odnosi się do mnie lub do nich co...

13+

jestem już niepotrzebna i wręcz przeszkadzająca? Tak już lepiej zostać. Tu przynajmniej siostry są uprzejme, grzeczne, jedzenie regularne, jako taka dbałość o mnie. Urządzamy sale na parterze. Są ich trzy duże, widne. W salach pełno chorych. Warunki dość dobre, można się umyć i przebrać w czystą bieliznę, którą tu dostałam. Bombardowania częste, ale nie w nas. Tak siedzimy kilka dni; prawie zawsze mam dyżury nocne , w dzień trochę śpię i tak pędzę żywot. W sali koleżanki leży Jim z Parasola, któremu na Woli z taką pasją pakowałam cukier kostkowy do kieszeni. Do niego to przychodzą czasem Karo, Kier i Jurand. Jurandowi daję buty wojskowe, które znalazłam na Barokowej. Ale to już nie ten sam Karo, który na Barokowej ofiarował mi pierścionek lub ten od Jana Bożego oni

14

i Kier taki niechętny, Jurand w ogóle kpiący. Pracuj dużo serce otwiera się....Pewnego dnia koło 19 sierp dostaję rozkaz przeniesienia się do pawilonu dla umysłowo chorych. Jest ich tam 2 jeden z gangrene i 1 ze złamaną nogą, który wymyśla strasznie na swój sposób. Tu nikt nie może być. Mam do pomocy tylko małą sanitariuszkę i tak wypoczywamy. Smród z gangreny okropny. W nocy okna nie można otworzyć, bo światło musi się palić całą noc, a trzeci dzień wariaci umierają. Od samego rana leci grad kul, granatów , krów, szaf już niestety na nas. Gołębiarz siedzący jeszcze na dachu widział nasze miejsce. Już bomby rozwały część budynku bliżej ulicy, szafy wyją, burzą piętro po piętrze do

14+

samych piwnic. Co robić? Trzeba uciekać. Znosimy rannych do piwnic. Praca żmudna ,

powtarzająca się, co pewien okres dni, doprowadzająca nas do rozpacz. Kiedy będziemy mogli pracować spokojnie? Światło gaśnie, wody brak. Dwóch pozostałych rannych od wariatów przenoszą też do piwnicy. Mało, że dużo jest starych rannych, przychodzą coraz nowi, a z Długiej 28 przychodzi cały sztab Radosława, ci, którzy zdołali się wyratować spod gruzów, brudni, ociekający krwią i potem. Myjemy ich, owijamy rany, karmimy, wszystko odbywa się przy świecach, które w skąpej ilości rozpraszają ciemności w piwnicach. W trudach słycać jęki chorych, prośby, a przecież wszystko działa tak okropnie, że nie można niejednokrotnie nic spełnić. A to kawa wyliczona

15

woda jeszcze nieprzeznaczona, basen brudny, nie ma czym umyć itd. Ale w miarę można, trzeba wszystko dać, uprzystępnąć, zapewnić. Choremu najprymitywniejszą wygodę. Jediną osobą, która mnie odwiedza, jest Bronek. On jeden wyciąga mnie stamtąd. Któregoś dnia przychodzi, kiedy ja biedna, nieumyta biegam przy chorych i każe zbierać się do dr Maksa. Zwolnienie u S. Joanny szło dość trudno, ale wreszcie jak na skrzydłach wyruszyliśmy oboje. Dr Maks, jak mnie zobaczył, kazał mi, aby doprowadzić się do porządku. Umyłam się, uczesałam, a dr Turek, jak mnie zobaczył, ucieszył się. Wreszcie wyszłam, dano mi do pielęgnowania rannego w płuca Tadka kolegę Bronka.

15+

Stan chorego wg dr Turka był beznadziejny: hematoraks czyli wylew krwi wewnątrz płuc. Mimo to nie chciałam wierzyć. Oboje umieszciliśmy się we wgłębieniu sali Pałacu Krasińskich. Całą dobę bez żadnej zmiany siedziałam przy nim, ale jak szczęśliwa, że wśród swoich. Dr Turek (skreślenie) przynosił mi supę i w ogóle ku zazdrości p. Reli- też pielęgniarki w sanitariacie otaczał mnie opieką. On też widząc moje ubolewanie nad stamen chorego jął mnie pocieszać, w co uwierzyłam skwapliwie. Tak przyzwyczałam się do tego chłopaka, wkrótce przybył jego brat Jerzy ranny lekko w pośladki i obu razem pielęgnowałam. Dr Maks niezbyt gorliwie opiekował się rannymi, więcej dbając o siostry żony zdrowie. Nie chciał mieć też kłopotu z rannymi, których coraz więcej przybywało na salę.

16

Toteż pewnego wieczoru dostałam rozkaz przeniesienia się z rannymi na Freta 1. Nie było mi to w smak. Tadek czuł się coraz lepiej, a taka wycieczka w nocy mogła mu tylko pogorszyć. Ale trudno; bili tej nocy okropnie, w dzień 10 razy więcej, mnóstwo rannych, zabitych. Około 1ej w nocy trochę się uciszyło i hajda w drogę tym bardziej, że połowa pałacu była zrąbana i nam też groziło niebezpieczeństwo. Szczęśliwie przeszliśmy, mimo że coraz rakiety rozświetlały pochód, że pociski rozrywały się koło nas i obsypywały nas gradem odłamków. Na Freta zastałam już trochę rannych, gdyż szłam obok Tadeusza, którego transportowano prawie ostatniego. W nocy urządziłam z pr.

Nieszem cały szpital. Tak było ślicznie, czysto, wygodnie. W dzień ludność cywilna ugotowała mi obiad dla rannych, kawę, wodę i wszystko, co potrzeba. Zdawałoby się

16+

że ja swoje gniazdko zrobię jak najlepiej. Ranni byli zadowoleni i wszystko zapowiadało się doskonale. Wieczorem przybył mi jeszcze jeden ranny pseud. Elegant, a ci, co go przynieśli, byli do tego stopnia uprzejmi, że podali adresy, gdzie mogę brać koce, leki i wszystko, co potrzebuję, naczynia i garnki miałam swoje. Dla mnie osobiście dali czerwoną emalię do paznokci. Poukładałam rannych do snu, przyjął 2 znajome sanitariuszki, które nawet chciały tu zostać i pomagać mi (skreślenie)...wygoda chorych, z których kilku było b. ciężko rannych, skłoniła mnie do pozostawienia. Noc była gorąca. Niemal każda ulica paliła się, szafy i granatniki waliły bez miłosierdzia. I coraz bliżej nas. Na szczęście nasza piwnica

17

miała tak grube ściany, że walki i wstrząsy nie robiły większych szkód. Ale niestety życie sielankowe, które dotąd wspominam, trwało króciutko, kilka szaf upadło na nasz dach, który zaczął się palić. Lokatorzy domu żywo stanęli do obrony, ale nowa fala szaf powtórnie wznieciła pożar, którego już nie zdołano ugasić. Pr. Niesz zaczął myśleć o wyprowadzce. Dom palił się na dobre. Coraz z góry spadały drzazgi, palące się deski, kawałki blachy, muru. Powoli wynosiliśmy rannych na Nowomiejską 26, część nawet na Freta 10. Przenosiłam wszystko po kolei. Tadeusz czuł się gorzej, trudniej oddychał, zbladł. Zmartwiłam się. Jurandowi (I komp.) też noga mocno spuchła i bolała. Na Nowomiejskiej dano mi pokój, jakoś usadowiliśmy się i czekaliśmy do rana.

17+

Z Tadeuszem było bardzo źle. Zrobiłam mu kamforę z kofeiną, ale to nie b. pomagało. Oddychał ciężko. Wreszcie z boleścią rzekł "Lena ja czuję, że gasnę". Nie wytrzymałam wtedy i rozplakałam się. Przywołaliśmy księdza. Chodzę z kąta w kąt, płaczę. S. Kara wymyśla mi, że co by było, gdybym nad każdym tak płakała, że jestem nieobowiązkowa. Cóż ja poradzę, kiedy mi ręce opadają i nic zrobić nie mogę. Mimo szalejących pocisków biegnę po doktora, obiecuje, że przyjdzie, że to minie i na tym się kończy. A Tadek czuje się coraz gorzej. Ale on tylko mi: Jurandowi puchnie noga coraz bardziej i silnie krwawi. S. Kara orzeka, że jest to krwotok i każe mi iść do szpitala. Cywile kładą go na nosze i przynoszą na Długą 9. Tu b. niechętnie odnoszą się do nowego rannego, wreszcie wymyślają mi, że to nie krwotok, że jak ja mogę

18

Ich zwodzić, gdy oni nie mają czasu i wyrzucają mnie do sieni. Posyłam sanitariuszkę, aby przyprowadziła cywili. Długo nie wraca. Tymczasem Jurand leży z zamkniętymi oczami jak zwykle

i pali papierosa za papierosem. Za długo czekać. Nad nami słychać kolejno warkot samolotów, bomby, potem szafy, pociski z czołgu. Wreszcie trochę się uspokaja i idę sama po noszowych. Przynosimy Juranda z powrotem oczywiście ku złości S. Kary, Tadek już nie może oddychać, brak mu tchu, wodzi za mną oczyma. Co spojrzę na niego, to płaczę. Biegnę drugi raz do doktora, opowiadam mu ze łzami w oczach, błagam, żeby poszedł, obiecuje przyjść jutro rano i zrobić punkcję do płuca. Wracam z niczym. Jestem bezradna wobec tego gasnącego życia. On taki młody, na pewno

18+

chciałby żyć jeszcze, a śmierć już zagląda mu w oczy. Przemawiam do niego najczulszymi wyrazami, rybko, rybeńko moja, nieczuły, łapie trudno powietrze ustami i nic. Wieczór zbliża się, powoli zapada zmrok. Tadek od czasu do czasu prosi pić. Mam dla niego najlepsze napoje, jakie tylko mogę zdobyć: wino, soki, herbatę. Jestem nim tak zajęta, że nie myślę o drugich. Ciemno, w drugim pokoju pali się świeczka i rzuca na nas swe słabe światło. Jurand prosi o basen i wymiotuje weń całą siłą. Niedobrze. Reszta rannych 3 wynosi się do drugiego pokoju ze względu na przykrą sytuację. Zostaję sama z Alą, sanitariuszką. Co 2 godziny wypada zastrzyk z kamfory i cofeiny Tadeuszowi. Przed 10ą kładę się spać i polecam obudzić się około 12 ej. Nie mogę jakoś spać. Przewracam się z boku na bok.

19

I słucham jak Tadek oddycha. O 12ej wstaję, szykuję strzykawkę, robię zastrzyk, lecz zauważam, jak duże zmiany w stanie jego. Przeczuję, że nadchodzi ostatnia godzina. Łzy cisną mi się do oczu. Każę zawołać Ali- brata Tadka- Jerzego. Poszła. Przez ten czas Tadek zaczyna majaczyć, coś o dowództwie w wojsku. Jest to, czego się spodziewam- nadchodzi śmierć. "Tadek- wołam- otwiera szeroko oczy- Tadek, czy poznajesz mnie?"- przeczy głową. Potem obejmuje mnie ręką za szyję i przyciska do piersi, oczy stają mu kołem, rysy ostre- kilka mocnych oddechów- koniec. Wybucham płaczem. Jerzy wchodzi, kiwa głową. Po jego odejściu daję folgę łzom. Wzywam pomsty u Boga na tych szwabów, jak oni go tak zabić mogli, tak zabrać w nim młode życie. Jurand chociaż ty odezwij się do mnie w nocy, powiedz słowo Lena, ja będę słyszała- proszę. Cisza. Jurand ma odezwać się.

19+

" Wiesz, chyba nie , może jutro"- odpowiada po chwili. Padam na poduszki bez siły. Ala uspokaja mnie. Koło mnie leży trup Tadka. Zmorzona płaczem około 3. 30 zasypiam. Gdy wtem przed 6ą budzi mnie Ala: "Jurand nie żyje". Jezus Maria czy świat się wali, czy nie było już dla nich ratunku? Te 2 zgony zupełnie mnie załamują. Trupy wynoszą do innego mieszkania. W pokoju zostają pustki, brudna pościel, materace i nic. Co robić? Ludność cywilna z tego domu robi 2 trumny, w które wkładamy obu. Och, jak mi ich żal, jak mi żal Tadka 24 lata- sam kwiat, rwał się do życia i

musiał polec. Leży teraz w pudle tym i za co on zginął? – za Warszawę, za stolicę, za nią zginęło tyle tysięcy młodych serc, tyle talentów zagrzebało się w ziemi, tyle geniuszy pochłonął czarny pył. Tadeuszowi i Jurandowi daję poświęcony medalik z szyi, niech idzie z częścią mnie, niech

20

wie, że do końca pamiętałam o nich. Może ktoś pomyśli, że zakochana byłam w nim. Śmiało mówię- nie. On miał w sobie coś pociągającego, że się do niego tak przyzwyczaiła. Ale czemu tak płakałam, bo mi żal go było. Leżał cały dzień w trumnie, zaglądałam do niego, bladziutki z na pół zamkniętymi oczami, jasne loki rozrzucały mu się. Przykryłam na powrót "Tadek, Tadek" szeptałam. Po południu odbył się pogrzeb obu. Kilka razy musieliśmy się chronić do bram, bo były naloty i siekli z broni pokładowej. Na grobie obu postawiono 2 krzyże z tabliczkami. Niech śpią w spokoju. Trzy dni chodziłam nieprzytomna, prawie ręce mi opadły. Robota nie szła. Zresztą prócz Inteligenta byli chorzy chodzący. Następowaly coraz liczniejsze starcia z Kamą i SS Karą I coraz ostrzejsze. Wreszcie por. Maks obiecał mnie zabrać stamtąd. I oto za 3 dni otworzono nasz szpital

20+

w piwnicy Pałacu Krasińskich, do którego powołano mnie. (skreślenie) Szpital- jak zwykle przypadło na mnie, trzeba było urządzać: myć, szorować, znosić materace, lokować chorych. A rannych coraz więcej napływało. Stare Miasto mimo dzielnej obrony żołnierzy coraz bardziej pogrążało się już w fale germańskich bandytów. Chłopcy walczyli do ostatka. Masa rannych i zabitych. Nie dość tego, ku rozpaczcy ogółu, zaczęto przebąkiwać o opuszczeniu Starówki. Z początku nikt nie wierzył, ale gdy sytuacja z godziny na godzinę stawała się tragiczniejsza, ze smutkiem głębokim przyjęli tę wiadomość. Już zamieniono w gruzy szpital. Jana Bożego, dobijając mnóstwo rannych. Bombardowania były coraz cięższe i częstsze. Po prostu wyjść nie można było z piwnic: wszędzie ostrzał lub odłamki lecące, nie było minuty, żeby nie rozerwał się pocisk. Wokoło gruzy, gruzy i płomienie, nie znać już ulic, jedna wielka ruina, po której hula rozszalały ogień. A w piwnicach

21

stłoczeni ludzie, brudni i zakarzeni, wystraszeni ze swymi tobołkami. Na nich to przy każdym huku i wstrząsie spadają gruzy z sufitu, walą się ściany i domy. I ci ludzie wychodzą z nich jeszcze bardziej brudni, szarzy, nieodróżniający się od tobołków, przesuwiają się do drugich piwnic jeszcze niezawalonych. I tak stale nieraz kilka razy na dzień. Za sobą zostawiają swych bliskich, przywalonych, zabitych, coraz więcej ubywa z tej gromady, a reszta idzie dalej i dalej, aż i ją spotka ten nieszczęśliwy los- śmierć. Tragedia Starego Miasta, wielka tragedia, okropna... A chłopcy stoją na czujkach, a ubywa ich coraz więcej, tyle rannych, zabitych. Nie ma zmiany żadnej, nie śpią po kilka dób, sen zamyka im powieki, błagają o jakiś wypoczynek. Nie ma. Co robić? Już brak ludzi, z kompanii porobiły się plutony a nawet drużyny. 29 sierpień. W moim szpitalu jestem sama. Mam

50 kilku chorych i sanit. Sokoła do pomocy.

21+

Wody i światła nie ma. Wodę trzeba nosić z Hipotecznej, o świetle nie należy nawet marzyć. A każdy woła basen, kaczkę, jeść, proszek, opatrunek. Dr Kalina tylko do 3ej robi opatrunki, potem gdzieś znika. Przychodzi rozkaz wymarszu wszystkich rannych, którzy mogą chodzić. Ściągamy więc w nocy ze wszystkich punktów rannych. Brak Trefla, Wandeczki. Błagam na wszystko Maga d-cę plutonu, aby mi pozwolił go zabrać. Trefl ledwo chodzi. Mag nie chce się zgodzić. Jestem zdenerwowana. Wreszcie chłopcy obiecują mi wziąć go. Wracam na salę. Przybywają ranni z punktów, jest ich dużo, nie ma ich gdzie położyć. Wojsko dostaje rozkaz przebiecia się do Śródmieścia. Dowiaduję się o tym od dra Maksa, który mówi mi, że zostaję z ciężko rannymi, podczas gdy wojsko opuszcza Stare Miasto. Biegnę do Kara i opowiadam mu. Jestem zrozpaczona. Jak to zostać na łaskę losu? A może potem patrzeć, jak będą szwaby dobijać

22

mi rannych. To było wprost straszne. Karo nic mi nie pomógł. Sam był zmartwiony: brata musi zostawić, sam może niedługo zginie... Polecił mi Trefla w opiekę. Trudno, zgodziłam się z wolą Bożą i zbieram prowiant. Nikt mi nie chce dać pomocy: major -naczelnik szpitala Długa 23 odmawia mi wszelkiej pomocy lekarskiej, pielęgniarzkiej i gospodarczej; daje mi na pół rozwaloną piwnicę jako pomieszczenie. Boże, co robić? Tymczasem przychodzi rozkaz, że idą i ciężko ranni i ja z nimi. Ucieszona, ale szczęście nie sprzyja, dostaję p. Marysię, która mi stale mdleje, nie mogę jej nieść. Pochód wolno posuwa się do wjazdu, wreszcie staje w połowie drogi i stoi do samego rana. Mnóstwo ludzi, żołnierzy. Kule i pociski rozrywają się nad nami. Lada moment przyjdą samoloty i wybiją nas. Szczęściem dowództwo przeczuło niebezpieczeństwo i cofnęło nas z ulicy. Ja cofam się do pomieszczenia z 8 najciężej rannymi.

22+

Jest to brudny pokój, tak brudny, że trudno sobie wyobrazić. Dawniej był to zapasowy ustęp. Ledwo wyprzątnęłam, oczyściłam z zapachu, wystarałam się trochę żywności, wody do picia, jak zaszła noc. Podczas tej nocy lekko ranni i lekarze uchodzili do kanału. Przybiegł do mnie Bystry, przewodnik kanałowy, mówiąc, że tych rannych nie zabierze się, bo kanał wąski, a Niemcy podstuchują i biją granatami. Zmartwiona losem swoim i więcej tych biedaków, którzy tak łagodnie patrzą na mnie i tak proszą, abym ich nie zostawiała, proszę go, aby choć niektórych zabrał. (skreślenie trzech linijek) Rano błagam po kolei d-ców kompanii. Włodka, Ziotka, potem znów Bystrego. Obaj pierwsi obiecują mi szczerze, ale obaj zostają ranni, a nawet Włodek umiera. Bystry niewiele też stanowi, może zabrać tylko mnie.

23

Na to się nie zgadzam. Wszystko zależy od Majora Sosny. Latam więc od rangi do rangi, błagam, wymyślam, proszę i krzyczę, nic nie pomaga; tłumaczą mi wielkie trudności przy przechodzeniu. Wołam więc cywilów, mężczyzn do niesienia, przenoszę ich do pl. Krasińskich, skąd jest wymarsz, ale i to nie pomaga. Słaba nadzieja utrzymuje się do wieczora. Chorzy czują się b. źle. Są zdenerwowani, mają silną temperaturę, błagają na wszystko, aby ich nie zostawić. Pod wieczór Cygan zaczyna majaczyć, stan ogółu pogarsza się, dwóch umiera. Zostaje się trzech. Przychodzi rozkaz odstawienia ich do szpitala i pod karą śmierci nie może być ani jednego rannego w kanale. Jestem zrozpaczona. Dla 3ech nie ma racji się zostawać tym bardziej, że szpital Długa 23 przyjmuje. SS Anna przychodzi i zabierają rannych (skreślenie) i poszła razem, mówi jak bardzo boi się Niemców i swego przyszłego losu.

23+

Wynoszą Ziutka i słyszę jego krzyk: " Nie zostawiajcie mnie, ja bym was nie zostawił" To rozdzierający krzyk, który pamiętać będę do końca życia. Cisza. Krótkie rozkazy. Nasz oddział wchodzi do kanału. Stoję z Bronkiem na ostatku. (skreślenie) Jest Broniek i Zan za mną, przede mną jakiś chłopak z innego oddziału. Noc ciemna, naokoło nas pożary, pożary, każdy dom pali się, płoną nawet ruiny. Cisza dokoła, czasem tylko pocisk lub rakietka przerywa uroczystość chwili. Droga do kanału krótka, zaledwie około 50 metrów, ale jak się dłuży. Jest rów, a raczej wgłębienie pół m. wysok. Po obu stronach porzucane plecaki, rzeczy, walizki. Do kanału nie można nic brać, bo się nie zmieści, więc wszyscy rzucają po drodze swoje plecaki. Rakietki oświetlały nasz pochód, który czołgał się do kanału. Nareszcie włącz. Coraz ktoś schowa się w czarnej czeluści, jedno za drugim, cicho jak

24

mysz. Wchodzę, a raczej wpadam 5m. w głąb, za mną karabin, uderza głowę, robiąc dziurę, która krwawi. Widać tego z szpitaliku przeszedłam wprost w ranę. Kanał był wąski, okrągły, do kolan brudna woda, zanieczyszczona jeszcze różnymi rzeczami porzucanymi z braku sił, a nawet trupami. Iść należy bez szelestu, pomału, nie mówiąc ni słowa, bo echo wtedy rozniósłoby się, a Niemcy podsłuchiwali i rzucali granatami. Przeprowadzenie trwało 2,5 godziny. Wysokość kanału malała tak, że 80m. szło się w kucki, bo wojsko. Nareszcie spoglądam w górę i widzę niebo. To włącz róg Nowego Świata i Wareckiej. Wychodzę umazana szlamem i krwią. Buty są całkiem przemoczone i wykrzywione, uwierają nogi, które i tak są już pełne pęcherzy. Nie mogę wcale iść po mieście. Prowadzono nas przez ciemne, uśpione ulice 2 września około 3.10 nand ranem. Przy włączie

24+

już zostaliśmy napojeni kawą. Przechodzimy przez miasto, na którym nie znać wcale wojny. Domy stoją całe. Tylko czasem przechodzić trzeba przez piwnice lub przekopy, bo przejścia ogradzają pozycje niemieckie. Wchodzimy do kwatery tymczasowej, gdzie przyjmują nas żołnierze

Śródmieścia. Dają nam możliwość jakiegokolwiek umycia się i wyspania. Dziwimy się ogromnie, że tu jest woda w kranie, że tu cicho w nocy, wszyscy śpią. Usypiamy także. Rano o 7ej budzę się bo nalot, ale jakiś mało niebezpieczny: duże domy, huk mało słychać. Kładę się na powrót. O 3ej p.p. dostajemy obiad z 3 dań, który nam ugotowali mili gospodarze. Jem wspólnie z Bronkiem, który od tego czasu opiekuje się mną jak zresztą od samego Jana Bożego, nie odstępuję mnie prawie wcale. Potem następuje wymarsz do własnej kwatery w amb. Bułgarskiej w Alejach Ujazdowskich. Idziemy miastem. Ruch na ulicach- ludzie, powstańcy, bo cywilów prawie nie widać, elegancko ubrani, mundury nan nich nowe, czyste, uprasowane.

25

Wobec nas wyglądają jak lalki. Zazdrościmy im. Kiwamy głowami: "Gdybyście byli na Starym Mieście odechciałoby się wam elegancji". Domy zupełnie całe i ludność mieszka na wszystkich piętrach, śpi w mieszkaniach i w ogóle żyje całkiem normalnie. O jakie to strasznie dziwne. Oddychamy powietrzem czystym, nie pełnym kurzu i dymu jak na Starówce. Nasza kwatera leży obok ogrodu kawiarnianego. Tu już byli Niemcy, tak pięknie grano, a opasłe Germany zajadały ciastka i piły słodką kawę, a myśmy chleba pragnęli. Teraz siedzimy przy białych stolikach choć rzadko, ale przyleci odłamek lub pocisk. Tak na ciszę narzekać nie można. Spokój panuje, natarcie małe i słabe odpierane przez naszych z małymi stratami. Szpitale na stopie normalnej. Brak tylko światła, ale jest karbid. Pielęgniarki w białych fartuchach, lekarze, operacje, chorzy na łózkach, w ogóle życie całkiem normalne. Z żywnością trochę gorzej, ale i to się pokonuje i je się

25+

bo jest czas ku temu. W ambasadzie dostajemy od tutaj Żołnierzy, my panienki, po flakonie wody kolońskiej, jeść. I tak mija noc. Na drugi dzień przyjeżdża do nas Fogg z akompaniamentem i daje koncert. Śpiewa więc różne piosenki b. wesoło, deklamatorsko mówi wiersze z czasów okupacji. Nastrój b. przyjemny. Siedzę na pięknej kanapce między Szarym a Bronkiem (duże skreślenie) Wiem, że on mnie lubi. Siedzę więc z nim na kanapce wesoła. (skreślenie) Śpiewam razem ze wszystkimi piosenki nasze pod dyr. Pr. Henryka. Fogg słucha uważnie. Wreszcie kończy.

26

Wszystko się rozchodzi. Cały czas potem siedzę z Bronkiem i gadam, bo w ogóle Parasol dostał kilka dni urlopu i nic się nie robi, nie ma żadnych przydziałów. Tymczasem dowiaduję się, że dr Maks i sanitariat jest w gmachu Konserwatorium na Ordynackiej, trzeba więc zameldować się tam. Przychodzę wieczorem. Są tylko noszowi: Wit, Pejo, Zygmunt i Kordian. Maks, przyszedłszy, dziwi się, iż jestem, ale nie z wyrzutem. Pyta się o rannych. Mówię stan faktyczny, zapisuje w notesie. Nadchodzi wieczór. Czuję się nieswojo, dr Maks i Zawał z żonami poszli sobie na miasto spać, nie zatroszczywszy się o mnie, że jest tylu mężczyzn, a ja jedna. Wieczorem przychodzi Bystry, przynosi mi czekoladkę. (skreślenie) Noszowi piją. Pytam się o dr Turka. Mówią, że

przyprowadził sobie ze Starówki jakąś damę, z którą śpi.(skreślenie) Kładziemy się wszyscy spać na wiórach

26+

założonych papierami. Dają mi koc. Śpią (skreślenie) Około 8ej rano przychodzi dr Maks z żoną i mówią, że przenosimy się na drugą stronę Alej Jerozolimskich do Ambasady Bułgarskiej. Pakujemy wszystkie materiały opatrunkowe i idziemy. Po drodze spotykam jednego z rannych z Długiej 23, bardzo miłego chłopaka, z którym trochę gadam. Dowiaduję się, że Długa 23 została całkowicie zbombardowana, a s. Oleńka i jeszcze dwie zabite przez bombę. Co Niemcy zrobili z rannymi okryte tajemnicą. Zaraz też spotykam się z tym, który był w sierpniu w moim domu i któremu dałam bluzę tankową.Chciał wstąpić znów do sanitariatu, ale dr Maks nie chciał się zgodzić, wydając najgorszą opinię, a co gorsza i na mnie potem miał oko, myśląc , że to mój kuzyn.Doszliśmy do amb. I tak przesiedzieliśmy do wieczora a nawet w nocy. Wit, którego zaczęłam trochę bliżej poznawać, był dla mnie b. dobry. Był to człowiek

27

około 40 lat, plutonowy, teraz wobec braku ludzi został noszowym.(skreślenia)Wyjął spodnie i kazał mi się na nich położyć zamiast na gołej, brudnej ziemi, pod głowę dał plecak i przykrył kocem.A nawet założył na mnie sweter wyfasowany na Starówce. O 3ej and ranem, gdy ledwo zrobiło się szaro, szykowaliśmy się do wymarszu.Dokąd? Nie wiadomo. Trochę daleko. Idziemy, już widno robi się. Kierunek marszu, przechodzimy zaułki, tu trzeba schylać się, tam szybko podbiec i gdzieśgdzie znów nawet czołgać się. Wreszcie koniec marszu.ul. Wilanowska. Zajmujemy kwaterę w jednym z nowoczesnych domów. Dostaję kwaterę z noszowymi. W ogóle traktowanie co najmniej zaczyna być niedobre. Jeść jak z łaski, racje chleba małe, a pracy wiele, to tu, to tam.

27+

Gdzie najgorsza placówka, gdzie najniebezpieczniej. Idę co dzień na dyżur do szpitala w Śródmieściu, gdzie leży nasz dowódca "Parasola" kpt. Kowalski oraz kilku chłopców.Wracam w nocy. Po gruzach zwalonych domów, po dołach...i labiryntach piwnic, dostaję się wreszcie głodna i nieludzko zmęczona. Kładę się spać, aby rano znów rozpocząć pracę. Ostatni dzień koło 13 września zostaje przerwana łączność ze Śródmieściem. Jesteśmy zupełnie sami. Mamy tylko jedno wyjście- śmiertelną walkę do ostatka. Ledwo przedostaję się ze Śródmieścia i odnajduję swój oddział, który już zmienił kwaterę, bo go zbombardowali.Idę przez palące się domy,płoty, komórki. Przesuwam się między płomieniami, co chwila potykam

28

się o jakiś wyłom, dół, cegłę, upadam, ranię sobie nogi. Nie czuję strachu, chcę tylko jak najprędzej ujrzeć swój oddział. I oto Okrąg 12 spotykam ich. Odtąd nie możemy zagrazać miejsca, przerzucamy się, utykamy rannych, bo ich jestmnóstwo , wreszcie powstaje myśl przedostania się za Wisłę.Kto może, kto chce, potem , kto się nie boi uwinąć i będzie płynął. Idą cywilni, idą powstańcy na brzeg Wisły, czołgają się w ogniu rakiet.I artylerii. Na brzegu wielu rannych i zabitych, nie przeraża to nowych, idą, czekają na łódki, które nie nadchodzą ,zabitych coraz więcej, ale reszta nie zraża się. Biały dzień czy czarna noc nie przeszkadza im. Chcą żyć, chcą być na tamtej stronie, ich nic nie zraża już. Chodzą po trupach swych najbliższych.

28+

Szał przedostania się na tamten brzeg ogarnął i Parasola.Małymi grupkami z rannymi wycofaliśmy się ku Wiśle .Noc taka cudna była wtedy, gwiazdzista, kiedy szłam w grupie 20 osób z Mucem I Bronkiem.Wściekły ogień granatników osadził nas na miejscu. Zdawało się, że wypatrzyli nas.Skryliśmy się za spalone szczątki samochodu.Pociski rozrywały się tak blisko nas,że cudem chyba wyszliśmy wszyscy cało, znajdując niedaleko nasze pozycje obsadzone większością Berlingowców. Ulokowali nas w piwnicy.Byłam 1 sanitariuszką, a ich tylu rannych. Była też tam żona z rannym por. Lutym- lekarzem oraz łączniczka Loda. Siedzieliśmy tam kilka nocy z rzędu. Nie było co jeść i pić. Wodę przynosił sanitariusz z Wisły.

29

I wydzielał po szklaneczce rannym, nam nic. Na drugi wieczór poniosłam chor. Siekierkę, który obiecał mnie z moimi rannymi przewieźć na tamten brzeg. 2 wieczory próbowaliśmy. Łódki nie nadjeżdżały.2 dni przebywaliśmy pod strachem Boga, odpierając ostatnim wysiłkiem siły wroga.Domy leżały już w gruzach, były tylko piwnice, a w nich pełno ludzi, że przecisnąć się nie było można. Coraz inni przybywali, oddając domy.Już pozostały 2 domy tylko.Co robić? Bronimy się na śmierć I życie, do ostatka. Ranni umierali z upływu krwi, z braku pomocy i śr.opatrunkowych, z wycieńczenia wreszcie drugi raz rażeni pociskami. Nie ma ratunku dla nas. Sytuacja beznadziejna albo ginąć, albo na tamtą stronę zresztą każdy ruch

29+

i tak oznacza śmierć.Przez Wisłę- śmierć, u Niemców śmierć i walczyć dalej- śmierć. Wybieramy to ostatnie- walczymy do ostatka. Już tylko 2 domy, co robić?Wilanowska 3 I 1.Oba zburzone, tak , że na powierzchni leżą tylko gruzy.Czołgi podjeżdżają, nielitościwie prażąc granatnikami, tylko samoloty przestały krążyć, bo bije je ruska artyleria. Przypominam sobie tak samo beznadziejną sytuację na Ludnej, kiedy dr Maks,(skreślenie) pozostawił mnie i dr Turka(skreślenie). Broniliśmy zaciekle pozycji Ludna 9. Kilkunastu chłopców czyli 1 kompania i my jako sanitarka.Broniliśmy się z nadludzką wprost siłą 3 dni i wreszcie w biały dzień musieliśmy się wycofać, gdy Niemcy wdarli się

30

już do domu i stali po drugiej stronie podwórka. To były momenty, kiedy krew stawała w żyłach, włosy jeżyły się na głowie, a nerwy z napięcia bolały, aż do wariacji. Mając rannych na głowie, wycofywałam się pod ostrzałem RKM-u niemieckiego. I jak szczęśliwie. A potem ten popłoch, to pragnienie wyjścia za Wisłę i wreszcie ostatni wieczór. Siedzę w piwnicy z rannymi Siekierą Mucem i Bronkiem, aż tu słyhać "Hande hoch" o 20 kroków. Co robić? Jedynie ucieczka. Wyłazimy przez okienko w piwnicy i do następnego domu. Biegniemy po palącej się smole. Nogi mam już całe poparzone, buty oblepione smarem, po prostu nie sposób uciekać. Wszystko naokoło

30+

się pali. Jedno morze ognia. Ogień grasuje po wszystkich barykadach, świeci w dziurach okiennych, hula we wnętrzach, niszczy wszystko, wszystko, rozszalały w swej potędze panowania, podniecony przez wiatr, zdaje się być zachwycony swoim dziełem. Szczęśliwie dobrnęliśmy do domu, który jeszcze był nasz i ostatni dom Wilanowska 1. Położyliśmy się spać. Nazajutrz budzą nas. Wstawać, kto chce, niech poddaje się Niemcom do godz. 9 rano. Już ludność cywilna przyszła. Ranni też niech idą. Wychodzimy. Po drodze spotykamy por. ? Co robić? I tak to pytanie powtarzane zbielełymi ustami, pytanie

31

wypowiadane wciąż obłąkanymi oczami. Idźcie- mówi por. Jerry- my będziemy bronić się do ostatka. O Boże- ostatni jęk, ostatnia chwila u swoich. A tam co będzie?

